



autor: Clayton

Piątkowy poranek witaliśmy ze sporymi nadziejami – wreszcie poważna bitwa! Morale podniosła poranna wizyta w obozie sutlerów i przedpołudniowy *drill* i *dress parade*. Pierwszy sierżant, znany nam spod Gettysburga David, wyznaczył mnie wraz z trzema kolegami do pełnienia służby wartowniczej w obozie. Podbudowany tym dowodem uznania dla mojej znajomości *Manual of Arms*

i wspominając słowa klasyka „Żołnierz powinien iść na służbę jak do ślubu!”, przygotowałem się starannie do owej uroczystej chwili, m.in. czyszcząc starannie buty. Okazało się to złą wróżbą. Po dotarciu na miejsce dowiedzieliśmy się od dowodzącego wartą majora, że tego dnia posterunki obsadza inna brygada, a nasz godny podziwu zapal możemy spożytkować w popołudniowej bitwie.

Popołudnie w końcu nadeszło. W obozie rozległy się trąbki ogłaszające *first call*, a kilka chwil później kolumnienki kompanii spłynęły na plac, gdzie formowała się brygada złożona z pułków z Florydy i Georgii. Wróciły wspomnienia spod Gettysburga – staranne *inspection arms*

, sprawdzanie zawartości ładownic i manierek, krótka przemowa dowodzącego brygadą generała Jessego. Dość tajemniczo zabrzmiały jego słowa, w których – odwołując się do upału istotnie porównywalnego z gettysburskim – zapewnił nas, że czeka nas „miły spacer w cieniu”. Wreszcie zabrzmiało znajome

*Right face! Forward march!*

i brygada, z naszą kompanią na czele, opuściła obóz.



Przed sobą widzieliśmy wzbijającą kurz kolumnę pułków z Teksasu i Alabamy, jednak nie ruszyliśmy ich śladem, lecz skręciliśmy nieoczekiwanie w lewo. Wkrótce nasz cel okazał się jasny – wracamy na stoki Pigeon Mountain. Tym razem jednak nie zapuszczała się na nie grupa ochotników, a cała brygada, w tym przyzwyczajeni do płaskich terenów mieszkańcy Florydy. Najwyższe wzgórze tego stanu ma ok. 115 metrów; teraz czekał ich marsz na siedmiokrotnie większą wysokość. W trakcie każdego z postojów stwierdzaliśmy, że ktoś wykruszył się z kolumny. Gdy po pięciu godzinach osiągnęliśmy wreszcie pozycje wyjściowe, nasze straty marszowe sięgnęły kilkunastu procent. Trzeba jednak podkreślić, że nasi znajomi spod Gettysburga dotarli do celu w komplecie, choć w rozmaitej formie – ja sam przez większość dystansu oprócz własnego niosłem na ramieniu karabin jednego z kolegów.

Niepokoili nas dochodzące do naszych uszu od dobrych dwóch godzin odgłosy intensywnej wymiany ognia. Martwiliśmy się, czy zdążymy wziąć w niej udział. Wreszcie stanęliśmy na wąskiej półce pod szczytem, której środkiem biegła ścieżka. Po kilku chwilach odpoczynku

sformowaliśmy *line of battle* i załadowaliśmy broń. Wówczas padł rozkaz ruszenia dwuszeregiem w dół stoku, po zboczu opadającym pod kątem 50°. Zaskoczeni oficerowie pospiesznie wykrzykiwali polecenia, by zdjąć kapiszony z kominków i w razie upadku odrzucić broń. Koncentracja przyniosła jednak efekty – zeszlśmy ze stoku, nie łamiąc szyku; nikt nie upadł.

Po sforsowaniu płynącego u stóp wzniesienia strumyka sens naszej górskiej turystyki okazał się jasny – przed nami piechota z dywizji Hindmana spychała w naszą stronę dwie federalne brygady. Pojawiliśmy się dokładnie na ich tyłach. Byliśmy już rozwinięci, zatem pozostało wziąć na cel plecy odzianych w granatowe kurtki nieszczęśników i otworzyć ogień całą brygadą. Pierwsza salwa spowodowała, że na twarzach ponownie pojawiły się radosne uśmiechy. Druga sprawiła, że stały się szersze. Potem trzecia, czwarta, piąta, szósta... I koniec.

W szeregach obu stron zagrały trąbki, usłyszeliśmy komendę *Uncover!*. Dotarło do nas, że pierwszy dzień bitwy właśnie dobiegł końca, a przed nami powrót do obozu. Z pełnymi ładownicami.

Tego wieczoru morale nie było najlepsze. Ja sam nie narzekałem – lubię chodzić po górach. Miałem jedynie nadzieję, że w trakcie kolejnych dni zrobię użytek z pozostałych 114 ładunków. W końcu gorzej być nie mogło, prawda?

Mogło. O piątej rano obudził mnie deszcz, intensywnie stukający w płótno namiotu, a po godzinie powitały smętne twarze towarzyszy broni, którzy kwaśno uśmiechali się, słysząc na powitalne *Keep your powder dry!*. Przyroda starała się dostarczyć nam urozmaicenia – mocny deszcz chwilami przechodził w ulewę, potem znowu w mocny deszcz. Wszechobecny w Georgii czerwony pył pod jego wpływem błyskawicznie przekształcał się w błoto o intensywnie rdzawej barwie. Około południa jego warstwa na otaczających obóz drogach sięgała już powyżej kostek.

Około drugiej po południu deszcz ustał. Niemal natychmiast zarządzone zbiórki kompanii i ponownie wyruszyliśmy na plac boju. Tym razem marsz zajął może pół godziny, a jego trasa wiodła po płaskim terenie. Doradzano nam mocne sznurowanie butów, co nie okazało się radą na wyrost. Po kilku chwilach ślizgania się w błocie oficerowie zmuszeni byli rozbić kolumnę czwórkową na dwie równoległe kolumnienki, poruszające się poboczami drogi, a właściwie rzeki błota, w którą przerodziła się droga.



Na miejscu okazało się, że pułk spełnia rolę osłony dla dwóch sześciodziałowych baterii, z których jedna rozstawiła się tuż przed naszym frontem, a druga, rozlokowana kilkanaście metrów z tyłu, na szczycie niewysokiego i płaskiego wzniesienia, strzelała ponad naszymi głowami.

